

**WŁADYSŁAW
STANISŁAW
REYMONT**

Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ

Władysław Stanisław Reymont
Z ziemi chełmskiej

«Public Domain»

Reymont W.

Z ziemi chełmskiej / W. Reymont — «Public Domain»,

Zbiór reportaży literackich publikowanych w roku 1909 na łamach „Tygodnika Ilustrowanego”. Losy unitów, które Władysław Stanisław Reymont opisał w tekstach „Z ziemi chełmskiej”, były dla samego autora bardzo interesujące. W celu zgłębienia ich historii przez jakiś czas przebywał nawet na terenach przez nich zamieszkałych, a więc na Chełmszczyźnie i na Podlasiu. Zasłyszane fakty umiejętnie połączył z fikcją literacką, nadając reportażom formę powieściową. Opisał w nich sytuację po zerwaniu po 1875 roku przez cara Aleksandra II unii kościoła katolickiego i prawosławnego, która poskutkowała okrutną rusyfikacją i nakazem przejścia na prawosławie. Jedną ze stosowanych metod było świadome skłócanie wyznawców różnych religii, które okazało się tragiczne w skutkach.

© Reymont W.

© Public Domain

Содержание

I. Misyu	5
II	14
Конец ознакомительного фрагмента.	15

Władysław Stanisław Reymont

Z ziemi chełmskiej

I. Misya

Pan R. ożywił się niezmiernie i zawołał:

– Ależ ja sam brałem udział w tej ostatniej misyi, a tak mi głęboko wryła się w pamięci, że mogę panu opowiedzieć o niej z najdrobniejszymi szczegółami. Poprzedzę tylko to opowiadanie pewną, dosyć charakterystyczną sceną, żeby pan miał pełniejszy obraz życia na Unii, przed aktem tolerancyi.

—

„Wielkanoc owego roku wypadła w początkach kwietnia razem z prawosławną. Pamiętam, że w Wielki Piątek od samego rana mżył deszcz i było zimno. Śniegi jeszcze leżały po rowach, role były rozmiękłe do dna i drogi nie do przebycia. Chodziłem zdenerwowany, bo zanosilo się na dłuższą pluchę, a tu, jakby na dobitkę, przychodzi mój kowal i prosi, żeby posłać konie po księdza, do jego chorej żony.

– Co się stało? Widziałem ją jeszcze wczoraj przy wieczornym udoju.

– Zachorowała w nocy, leży prawie konająca! – mówił, trąc rękawem oczy.

– To idźcież do pani, może wam co pomoże.

– Kiedy się bojamy, bo może to ospa.

Wystraszyłem się nie na żarty, gdyż na wsi grasowała ospa przez całą zimę.

– A może wam sprowadzić doktora? – proponuję mu bardzo seryo.

Jakby się zdumiał, aż gębę otworzył. Ale naraz rzucił mi się do nóg, całował mnie po rękach i bełkotał wystraszony:

– Dopraszam się tylko o księdza! Doktor nie pomoże! Co tam te doktory. Obejrzy, opuka, zapisze lekarstwo, pieniądze weźmie, a chorobę zostawi. Pan Jezus prędzej odmieni na lepsze. Kobieta tylko skamle o księdza.

Poszedłem zaraz do stajni, żeby wybrać czwórkę, bo do parafii mieliśmy cztery opętane mile i roztopami, ale gdym mijał czworaki, wydało mi się, że dojrzałem kowalową w głębi sieni, karmiącą prosiętą. Powstałem na nią, że w takiej chorobie wyłazi na zimno. Uśmiechnęła się jakoś dziwnie, zaprosiła mnie do izby i, zamknawszy drzwi, powiada mi cicho do ucha:

– Musi jaśnie pan posłać po księdza z Panem Jezusem, koniecznie potrzeba.

Mówiła z takim naciskiem i oczy jej tak błyszczwały, że byłem pewien, iż majaczy.

– Ja zdrowa jestem, chwała Bogu! – odpowiedziała. – Ale tylko do mnie można wezwać księdza, bo tylko ja jedna z dwórek jestem prawna katoliczka.

– A któż chory? – zaczynałem rozumieć ten podstęp.

– Na wsi leży czworo prawie konających. Przecież nie mogą umrzeć bez świętej spowiedzi, a zapisane w prawosławne, to księdzu nie wolno do nich przyjechać! Mają te cztery niewinne dusze pozostać bez świętych Sakramentów? Od tygodnia się męczą, od tygodnia skonać nie mogą, a tylko skamlą i skamlą o księdza! Aż strach patrzeć i słuchać. To umyśliłam sobie: udam chorą, Pan Jezus daruje mi to cygaństwo, ksiądz przyjedzie do mnie, a tamtych przyniesą na ten czas do izby i wyspiewają się. Strażniki ani się domyślą.

– Chcecie ospę przywlec do chałupy! – krzyknąłem na nią.

– Bez woli Bożej nikomu włos z głowy nie spadnie! – odparła poważnie.

– Przecież macie drobne dzieci, mogą się łatwo pozarażać! – tłómaczyłem.

– To już trudno. Może Jezus w czym innym okaże nad nami swoje miłosierdzie, a tym nieszczęśnikom trzeba pomagać. Nie o małą rzecz idzie, o zbawienie dusz człowiekowych! – dodała z taką mocą, że dałem spokój perswazyom i konie wysłałem.

O zmierzchu przywlekli chorych do kowalowej izby i pokładli pokotem na podłodze. Kowalowa powtykała im w garście pozapalane gromnice, przyklękła w pośrodku i bardzo żarliwie modliła się za konających, którzy leżeli nieruchomo, cierpliwie oczekując na spowiedź, rozgrzeszenie i śmierć.

Widziałem to na własne oczy i nigdy tego nie zapomnę.

Ksiądz przyjechał późnym wieczorem, a za nim trop w trop strażnicy, jak zwykle, aby go pilnować, żeby czasem nie zaniósł jakiej religijnej pociechy „uporstwujuszczym”. Węszyli przez cały czas pod zasłoniętymi oknami, ale nie wywęszyli. Ksiądz przygotował chorych na śmierć i odjechał.

Wszyscy ci chorzy pomarli tej samej nocy.

A w parę dni potem umarło na ospę dwoje dzieci kowalowej.

Gorzko zapłacała za swoje miłosierdzie, ale przyjęła ten cios jakby z uniesieniem szczęścia, gdyż zaraz po pogrzebie powiedziała do mojej żony:

– Pomarli moje dzieciątka, pomarli... ale swoją śmiercią wykupiły cztery dusze z wiecznej zatury!

Otóż wkrótce po odjeździe księdza i jego aniołów stróżów, gdy się uspokoiło w domu, poszedłem do swojej kancelaryi, a tylko co zapaliłem lampę, ktoś zapukał w okno, i jakaś twarz mignęła mi za szybami.

Wziąłem rewolwer i wyszedłem na ganek. Pod drzwiami stał jakiś człowiek. Zajrzał mi z bliska w twarz i szepnął:

– Jutro w nocy misya!

– Gdzie?

– W samo południe zajedzie przed karczmę wóz w siwego konia. Dwóch chłopów będzie nim jechało. Niech się pan do nich przyłączy, oni zaprowadzą.

– Skąd jesteście? – spytałem go mimowoli.

– Z całego świata! – odpowiedział bardzo szorstko.

Prosiłem go usilnie, żeby wszedł do domu i nieco odpoczął.

– Nie pora! Muszę budzić, które jeszcze śpią – rzekł jakimś biblijnym tonem.

– A czy mogę zabrać żonę na misję?

– Za daleka droga dla dziedziczki. A przytem kobiecie łatwiej umrzeć, niżli dochować sekretu. Zabierał się do odejścia.

– Zostańcie chociaż do świtu. Noc ciemna i roztopy.

– Znam tu każdy rów, a kto z dobrą nowiną śpieszy, nie zbłądzi! Spóźniłem się już, bo czekałem, aż odjadą strażnicy i ksiądz.

– Ale proboszcz będzie na misji?

– To nie nasz, to tylko taki zwyczajny parafialny propinator!

Zdziwiło mnie to określenie w jego ustach, lecz nim się zdążyłem odezwać, już odszedł. Słyszałem tylko człapanie po błocie i skomlenie psów, które go odprowadzały jakoś bardzo przyjacielsko.

A nazajutrz, w samo południe, przebrawszy się odpowiednio, aby nie zwracać na siebie uwagi, kazałem założyć do bryczki fornalską, mocną szkapę i pojechałem. Przed domem stał wóz, zaprzężony w siwka, i siedziało dwóch chłopów, a skorom dojechał i chciał wyminąć, ruszyli przodem, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi.

Drogi były okropne, wyboiste i podobne do dna bagnistych rzek. Jechaliśmy noga za nogą, omijając wsie i takimi krętymi wertepami, że po jakimś czasie zupełnie przestałem się orientować.

A wbrew moim przewidywaniom, dzień był bardzo piękny, prawdziwie wiosenny, świeciło słońce, śpiewały skowronki, polśniewały szeroko rozlane wody na łąkach, a miejscami, na cieplejszych gruntach, już ruszały oziminy.

Przed jakąś wsią ogromną, nad którą wynosiły się zielone kopuły cerkwi, przystanęli moi przewodnicy, a jeden zawołał do mnie:

– Na końcu wsi, po prawej ręce, ostatnia chałupa.

Skręcili na boczną dróżkę, a ja śmiało wjechałem do wsi.

Na drodze, z obu stron obudowanej domami, było pełno kałuż, przedświątecznego rwetesu i psów, które mnie przeprowadziły zajadłem szczekaniem. Przed cerkwią, przerobioną z kościoła, stał strażnik, przyglądający mi się tak uważnie, że mimowoli zaciąłem konia do pośpiechu. Zauważyłem też, że z wielu domów wyjeżdżano w pole pługami a bronami na wozach, co wydało mi się dziwnym, gdyż grunty mieli niskie i jeszcze wszędzie po brózdach siwiały stojące wody. Pod jakimś domem, na kupie bali siedziało paru chłopów, i kiedym ich wymijał, podnieśli się, rzucili mi: „Pochwalony” i pociągnęli za mną. Wieś ciągnęła się ze dwie wiorsty, i kiedym się wreszcie znalazł na końcu i zacząłem się rozglądać za ostatnią chałupą, jeden z chłopów, idących za bryczką, powiedział półgłosem:

– Strażnik idzie za panem! Trzeba skrócić na prawo, przejechać koło chałupy, a zawrócić za budynkami koło stodoły! – I przeszedł, nie zatrzymując się ani chwili.

Zjechałem na bok. Wązka dróżka, obsadzona gęsto wierzbiną, wiodła obok wielkiego domu, stojącego w takim gąszczu drzew, iż ledwie majaczyły bielone ściany i poszycia dachów.

Obejrzałem się nieznacznie: strażnik przycałił się na skrócie, pilnie mnie spoza drzew obserwując, a chłopci maszerowali gęsiego ku lasom niedalekim.

Podjechałem bliżej, wypatrując już z pewną niecierpliwością jakiegobądź wjazdu. Ale cały dom wydał mi się jakby opuszczony, okna miał zasłonięte słomianymi matami, drzwi zawarte i bramę w płocie zamkniętą na kłótkę, a chociaż bardzo głośno popędzałem konia i trzaskałem z bata, nikt się nie pokazywał, nawet pies nie zaszczekał. Aż dopiero, kiedy skrzyłem za stodołę, otwarły się naraz jakieś wrota i, skorom w nie wjechał, zatrzasnęły się natychmiast, zaś stary, siwy chłop, który mi otwierał, rzekł dobrotliwie:

– Konia można postawić pod szopą. – I poszedł, nie troszcząc się o mnie więcej.

Stało już tam kilka tęgich mierzynek. Poszedłem z ochotą. W izbie było prawie ciemno, zasłonięte okna przesączały bardzo mało światła, ale w czerwonych braskach komina dojrzałem kilkanaście osób, siedzących pod ścianami. Nikt mnie jednak nie powitał, jakby nie zauważyli mojego wejścia, tylko coś ciszej zaszepotali między sobą, i poczułem, że mnie okrążają badawcze, nieufne spojrzenia. Próbowałem zawiązać rozmowę. Odpowiadali bardzo niechętnie, zbywająco. A kiedy zacząłem dość natarczywie rozpytywać się o misyę, odpowiedział mi któryś niecierpliwie:

– Jak przyjdzie pora, to wiadomo będzie.

Dopiero kobieta, widząc moje odosobnienie, wyjaśniła ich, kto jestem.

Wyciągnęły się do mnie twarde dłonie, ktoś dorzucił gałęzi na komin, światło buchnęło na całą izbę, a ja mogłem się przyjrzeć zebrany. Nikogo jednak nie znałem osobiście, ale dobrze znałem ten typ bohaterski, te surowe a pełne dobroci twarze, te oczy nieulekłe i te męczeńskie głowy „opornych”.

– Chyba obcy tutajby nie trafił! – powiedziałem, witając się z każdym z osobna.

– Ale zawsze trzeba ostrożnie. Zły człowiek, jak smród, wszędzie się wciśnie.

– Trzeba się nieraz strzedz własnego cienia.

– A to ciężko się uchronić! Mało to „duszołapów” węszy za każdym opornym!

Parę dni temu wyniuchali Michała Klimiuka z Wisznicy.

– Co się stało? – odezwały się strwożone głosy.

– A wzięli go! Bo to, panie, za ślub katolicki! – zwrócił się do mnie. – Brał go jeszcze jesienią w Krakowie. Po powrocie ona, że to pochodziła z drugiej gminy, zgodziła się do męża niby to za służącą, i żyli sobie, jak Pan Bóg przykazał. Aż tu którejś nocy, strażnicy przycapnęli ich razem, przetrzęśli całą chałupę, że nawet poszycia pozdzierali z dachów, i znaleźli ślubną metrykę! Co się im przytem zaraz dostało, to Bóg jeden wie. Ją związali, jak barana, i popędzili do gminy oddać ojcu, a jego powieźli do powiatu. A teraz każą mu drugi ślub brać w cerkwi!

– Chyba się na to nie zgodzi – wtrąciłem.

– To z twardego gatunku człowiek. Matkę jego tak nawracali z unii, aż umarła, ojciec siedzi do dzisiaj gdzieś na Syberii. To oporny z opornych. Wiedzą o tem dobrze, i słono zapłaci za swój ślub i przeróżnych bied się nasmakuje.

Rozgadali się i zwolna, prawie mimowoli, spokojnie i bez skarg, bez krzyków i jęku, jęli się wypowiadać przede mną ze swoich zwykłych, codziennych trosk, ze zwykłych, codziennych, systematycznych znęcań się nad nimi, z kar, płaconych za wszystko: za ochrzzczenie dziecka i za nieochrzzczenie, za pogrzeby, odprawiane nocą, ukradkiem, za śluby i spowiedzie, za samo wejście do kościołów, z ciągłych udręczeń, prześladowań, wędrówek po sądach, komisjach i więzieniach, z wiecznych a daremnych poszukiwań sprawiedliwości, z tych nieskończonych nocy, spędzanych we łzach, i z tych dni wiecznego lęku, zgryzoty i cierpienia.

Znałem przecież ich życie, ale, słuchając tych cichych, monotonna smutnych opowiadań, pełnych nieustającej walki, nieznanym bohaterstw, niezachwianej wiary i bezgranicznego poświęcenia, zdawało mi się, że gromada chrześcijan z czasów Dyoklecjana opowiada mi swoje krwawe, wstrząsające dzieje...

Ale tamci umierali tylko za wiarę, a ci giną i za ojczyznę...

I każdy z nich tak żył, każdy tak cierpiał i każdy tak samo walczył przez całe życie.

A przecież ten bój ciągnął się długie, długie lata i bez przerwy ni miłosierdzia.

Całe wsie poznikały z powierzchni ziemi, poginęły całe rody, całe pokolenia dawały wszystkim krew i wszystek żywot, ale pozostali nie ustąpili, nie zabłagali o litość, a zapomniani, wyszydzeni, biedni, pogardzani, w ponurej grozie opuszczenia walczyli dalej, bez wytchnienia, z jednakiem wciąż męstwem, nieulekli jednak i jednak niezwyknięci.

Siedziałem jakby zmartwiały; płacz sączył się z tych opowiadań, dymiły krwawe opary i cały dom zdawał się napęcznieć szlochaniem, gdy ktoś odezwał się głośno:

– Aby tylko nie było gorzej! Bo ciężko, strasznie ciężko...

– Przetrzymaliśmy tyle czasu, to przetrzymamy, dokąd się Panu Jezusowi spodoba.

– A może się odmieni! Powiadają, że po wojnie z Japonem nastaną lepsze czasy.

Pogadywali, snując nieśmiałe, lękliwe nadzieje. Rozmowa wkrótce przeszła na wojnę. Zaczęli się mnie rozpytywać o szczegóły tak usilnie, że musiałem opowiadać nieomal o każdej większej bitwie. Słuchali z niezmiernym skupieniem: posępne twarze zaczęły się ożywiać i promienieć uśmiechami dziwnej radości, ale w najgorętszym toku opowiadania ktoś mi przerwał:

– Ot i kara Boska na opamiętanie!

Naraz jakaś zasluchana kobieta wybuchnęła spazmatycznym płaczem, wyznając wśród szlochań i jęków, że jej syn zginął na wojnie.

Pomilkli, zwieszając smutnie głowy, twarze pokurczyły się boleśnie, a w niejednym oku zabłyśły łzy, gdyż prawie każdy miał kogoś bliskiego w szeregach walczących. Dopiero jakiś starzec z różańcem na szyi przerwał milczenie i, klękając przed obrazami, rzekł uroczyście:

– Należy się im szczerzy pacierz, bo nie za swoją umierają.

Przyklękli wszyscy i zaszemrały gorące szepty modlitwy.

A ledwie co się podnieśli z klęczek, ktoś wszedł do izby i zawołał:

– Zbierać się! Pora już w drogę!

Naciągnąłem burkę pośpiesznie, gdy przystąpił do mnie ten chłop z różańcem na szyi i, patrząc mi w oczy, powiedział z naciskiem:

– Pan chce z nami na misyę, a tam się może zdarzyć Bóg wie co...

Obejrzałem się po izbie. Było pełno. Wpatrywali się we mnie nieprzeniknionymi oczami.

– Pojadę z wami, gotów jestem na wszystko! – powiedziałem krótko.

Nikt się już nie odezwał, ściskali mi rękę, zabierali z kąta baty i wychodzili.

Noc była na świcie, i chłodnawy wiatr pociągał z pół, gdyśmy wyjechali za stodołę, zmierzając prosto ku borom, czerniejącym na horyzoncie, niby opadła nisko chmura. Jechałem na drugiego.

Przede mną, na pierwszym wozie siedziało trzech chłopów, a za nami musiał ciągnąć spory szereg wozów, bom nie mógł dojrzeć końca.

Noc była bardzo ciemna, chmury przysłaniały niebo, brał lekki przymrozek, gdyż błoto chlupało pod kołami. Jechaliśmy wolno i w głębokim milczeniu. Gdzieniedzie, we wsiach, zatopionych w ciemnościach, przebłyskiwały światełka, czasami wiatr przynosił naszczekiwanie psów, jakieś dalekie echa turkotów, a niekiedy parskały konie. Wjechaliśmy wreszcie na szosę i, nie żałując bata, ruszyliśmy z kopyta, aby się tylko dostać do lasu, który wyrastał przed nami coraz bliżej.

Głębokie, zarośnięte krzakami rowy ciągnęły się z obu stron drogi.

Naraz w ciszy rozległ się głos rozkazujący:

– Stać!

Ktoś wyskoczył z pierwszego wozu i przypadł twarzą do drogi.

Cały szereg jakby zamarł na miejscu. Nasłuchiwałem z zapartym tchem... gdzieś, jeszcze dosyć daleko przed nami, rozlegał się ledwie dosłyszalny turkot.

– Powóz we cztery konie! Bóg wie, kto może w nim jechać! Do rowu z wozami! Niech tylko pan dziedzic zostanie i rusza wolniuško! – padła cicha, a mocna komenda.

Zatrzeszczały krzaki, chlupnęła woda, i po chwili nie było już na szosie nikogo.

Ruszyłem stępą. Turkot był coraz bliższy. Wkrótce zamigotały latarnie i było słychać uderzenie kopyt i brzęk uprząży, a w parę minut później przesunął się koło mnie powóz, zaprzężony w cztery konie; siedziało w nim parę osób, rozmawiających po rosyjsku, ale w ciemnościach nie mogłem rozróżnić ani jednej twarzy.

– Żandarmi, panie! Wybrali się na jakieś polowanie. Nie trzeba o tem mówić, po co się mają płoszyć! – szepnął mi ten sam głos, gdy powóz już zginął w oddaleniu.

Skreśliśmy na drogę, biegnącą samym brzegiem lasu. Zapaliłem papierosa.

– Zgasić! mógłby kto zobaczyć ze szosy!

Zdażyłem tylko zobaczyć na zegarku, że było już po dziesiątej.

Jechaliśmy brzegiem lasu z dobrą godzinę, a ciemność, milczenie, cichy poszum drzew, monotonny skrzyp wozów i parskanie koni tak mnie usposobiły, że już na dobre zaczynałem drzemać, gdyśmy się wytoczyli na łąki, gęsto porośnięte kępami drzew i miejscami pozalewane. Otrzeźwiałem natychmiast, bo woda bluzgała z pod kół i kopyt, a spłoszone czajki zakwiliły nade mną. Potem wjechaliśmy na jakiś szeroki wygon, niezmiernie grzązki, wyboisty i pełen kałuż. Potem staliśmy dosyć długo na jakichś rozstajach pod krzyżem, gdzie już czekały sznury wozów i mnóstwo ludzi, a wciąż jeszcze było słychać nadjeżdżających.

Wielki las czerniał tuż przed nami, jak mur.

Zrobiło się nieco jaśniej, zaczęły przebłyskiwać gwiazdy, a z wiatrem nadpłynęły jakby dalekie echa ligawki.

– Ruszać, a nie rozwłóczyć się! – zabrzmiała cicha komenda.

W parę minut dosięgliśmy czarnej ściany lasu i znowu przystanęli, gdyż z pod drzew rozległ się jakiś ostry i groźny głos:

– Kto jedzie?

– Swoi! Swoi! – zerwały się niecierpliwe wołania.

– Tu niema przejazdu; grobla rozmyta, most zabrały wody. Zawracajcie!

– Jechalim z nadzieją, to może przejeździemy! – zagadał poważnie pierwszy wóz.

– Tak – że mi powiadajcie! A toż i strażniki umieją krzyknąć: swoi!

Słowo „z nadzieją” było umówionem hasłem, jak się później dowiedziałem.

Odezwał się znowu długi, przeciągły jęk ligawki, i wjechaliśmy w las; ugięły się pod bryczką jakieś dyle, koń mój zaczął się wspinać i chrapać, ale szczęśliwie przejechałem silnie rozklekotany most i literalnie utonąłem w ciemnościach. Wyniosły, zwarty bór okrył nas jakby czarnym płaszczem; nie było widać nawet końskiego zadu, a białe pnie brzoź majaczyły, jak przez sen. W jakimś miejscu musiałem zesiąść i prowadzić konia za uzdę, bo ślizgał się i rzucał na grobli, wyłożonej okrągłakami,

które zapadały się pod kopytami, jak klawisze: grząłem niekiedy w błocie po kolana, tłukłem się o drzewa i musiałem iść cały czas chyłkiem, aby się uchronić od smagania gałęzi. Wreszcie wywlekliśmy się na suchsze miejsce. Poczułem twarde gruntu pod nogami, a nad głową zobaczyłem gwiazdy i czuby drzew, rozstrzępione w czarne pióropusze.

– Wstrzymać konie i nie ruszać się z miejsca! Musimy przepuścić pieszych – rozkazano.

Przystanąłem, i wkrótce podniosły się dokoła mnie szepty i ostrożne, miarowe stąpania. W ciemnościach, jakie zalegały, zaledwie mogłem dojrzeć słabe i niewyraźne zarysy jakichś cieniów, ale długo słyszałem trzaski gałązek pod nogami i głucho dudnienie kroków tych tysięcy, przechodzących nieskończoną procesją, że zwolna bór napełnił się cichym, rozedrganym pogwarem, jakby bełkotem wód, napływających wzburzonymi falami, aż zestrachane konie zaczęły tu i ówdzie szarpać uprzęże, i tłuc się o wozy; a oni wciąż szli a szli; szmer wzrastał się chwilami, to przycichał i oddalał się, spływając bezustannie w jednym kierunku, gdzieś w głąb lasów...

Nie wiem, jak długo to trwało, ale w końcu już mi się zaczęło wydawać, że cały bór się chwieje, porusza i płynie wraz z tą niedojrzałą, potężną falą...

Niedaleko ode mnie rozbłysło nagle ognisko i, wciąż podsycane gałęziami, wybuchowało coraz potężniejszymi słupami płomieni. Setki ludzi kręciły się w krwawych brzaskach. Poszedłem się ogrzać, bo zimno było przejmujące; ktoś mi ustąpił miejsca i rzekł bardzo przyjaźnie:

– Niech się pan dobrze ugrzeje, bo do rana jeszcze daleko.

Przypiekałem się też z prawdziwą przyjemnością; ogień huczał wesoło, niekiedy sypnął deszczem iskier, niekiedy z trzaskiem rwał się w górę i buchał płomienistą, rozwichrzoną grzywą aż do czubów drzew, a dokoła ciżbiły się rdzawe pnie sosen twardą i nieprzejrzaną gęstwą, wśród której mrowili się ludzie, szeregi wozów i koni.

Obok mnie rozmawiano półgłosem.

– Nie zdążą prędzej, niżli na świtanie.

– Byle ich w drodze nie spotkało co złego.

– Na uroczysku, tam sucho i dostęp tylko z jednej strony. Strażniki nie trafią!

– A niech tropią: bagno głębokie... nie wyda.

– Trzeba się nam będzie niezadługo zabierać, kobiety już musiały dojść.

Umilkli nagle, gdyż zjawił się jakiś chłop i zaczął krzyczeć:

– Zgasić ogień, a toć lunę widać aż na polach!

W mgnieniu oka zawalono ziemią ognisko i zdeptano, a po chwili ruszyliśmy w jakimś znowu niewiadomym dla mnie kierunku.

– Czy to jeszcze daleko? – spytałem jakichś cieni, przechodzących obok bryczki.

– Nie bardzo, za jakie dwa pacierze staniemy na miejscu.

Nie mogłem już dojrzeć gwiazd. Nad głowami tylko szumiały cicho drzewa, i w leśnych mrokach rozlegały się przytłumione rozmowy i ciężkie odgłosy kroków. Jechaliśmy gęsiego i noga za nogą przez takie błota, topiele i trzęsawiska, że zaledwie w godzinę zdołaliśmy się przedostać na jakieś niewielkie wzgórze, dosyć rzadko porośnięte rozłożystemi drzewami, a otoczone nieprzebytek bagnem i wodami.

– Chwała Bogu, jesteśmy już na miejscu! – zawołał ktoś z radością.

Na wzgórzu płonęło kilkadziesiąt bujnych ognisk i wrzało jak w ulu, a gdzieś w samym środku obozowiska chwiały się zapalone łuczywa i trzaskały siekiery.

– Stawiają ołtarz i co potrzeba – objaśnili mnie.

– A czy księża już są?

– Dopiero nade dniem przyjadą.

Dałem koniowi obroku i poszedłem między ludzi.

Dochodziła już trzecia i do świtu było jeszcze daleko, a że przytem zimno przejmowało mnie coraz dokuczliwiej, więc dosyć długo włóczyłem się między gromadami, porozkładanymi

dokoła ognisk, aż, spotkawszy znajomych chłopów, przysiadłem się do nich na gawędę i dopiero się dowiedziałem, że jesteśmy w Kolembrodzkich lasach, które znałem tylko ze słyszenia.

– Sporo ludzi się zebrało! – zauważyłem, gdy rozmowa osłabła i zaczęli drzemać.

– Powinno być przeszło pięć tysięcy. A przytem szli sami wybrani, sami najbardziej potrzebujący księdza i nabożeństwa.

– A nie wytropią nas tutaj?

– Straże pilnują po wsiach najbliższych, po drogach i pod lasem, a reszta w Boskiem ręku. Nikt się tu nie dostanie, ani stąd nie wyjdzie bez pozwolenstwa! Droga przekopana i mosty pozdejmowane.

– A jakże dostaną się księża?

– Przez mokradła, ale takim przejściem, o którym tylko wie stary Lewczuk Gęsi. On też po nich pojechał i przeprowadzi.

Rozmowa jednak rwała się coraz bardziej, gdyż moi sąsiedzi, poukładawszy się pokotem przy ognisku, zasypiali jeden po drugim, aż w końcu i ja okręciłem się szczelniej w burkę, przywarłem do najbliższych pleców i natychmiast zasnąłem.

Obudziły mnie pierwsze świtania i przeciągły krzyk jakichś ptaków, ciągnących długim sznurem nad lasami. Na szarem tle nieba czerniały niewyraźną masą, wierzchoły drzew, a ziemię zasypywał sinawy brzask świtów. Było niezmiernie cicho, tak cicho, że słyszałem opadanie rosy i miarowe, niezliczone oddechy śpiących.

Poszedłem zajrzeć do swojego konia; całe obozowisko było jakby wymarłe, ludzie leżeli pogrążeni w głębokim śnie, tylko chrapania rozlegały się tu i owdzie, a z przygastych ognisk snuły się wiotkie pasma dymów.

Przy wozach podnosiły się na mnie ciężkie, czuwające oczy, a ktoś rzekł:

– Już nadchodzą, panie! – i wskazał ręką na wschód.

Nad bezbrzeżnym morzem szarości dojrzałem tylko roztlewające zorze, i słychać było dalekie kwakanie dzikich kaczek.

– Krzyczą, bo je spłoszyli. Tamtędy idą! Trzeba już ludzi budzić – dodał, powstając.

I wkrótce całe uroczysko, spowinięte jeszcze w mroki, zaledwie przesiane pierwszym świtem, pokryło się jakby mrowiem: tysiące ludzi poruszało się w brzaskach wybuchających ognisk, tysiące głów roiło się w blednących zwolna cieniach i wrzało trwożnym, przyciszonym gwarem, a co chwila tysiące rozpalonych spojrzeń podnosiło się oczekująco ku wschodowi.

Aż wreszcie po długim, męczącym oczekiwaniu rozległy się wołania:

– Już są! Przyszli! Zbierać się! Pod ołtarz!

Dałem się porwać jakby falom, skłębionym gwałtownie, i zanieść na środek wzgórza, gdzie czerniał już zdaleka ogromny namiot, zrobiony z kilimów.

Z wielu stron podniosły się krótkie i mocne rozkazy:

– Rozstąpić się! Kobiety i dzieci naprzód!

Usłuchano bez szemrania, i, gdy już kobiety z dziećmi ustawiły się przed samym namiotem, za nimi zwarła się wielkim półkolem żelazna nawała chłopów, stanęli nieprzełamany murem, ramię przy ramieniu i taką ciżbą olbrzymią, że nawet nie próbowałem przedostać się naprzód.

Tłum chwiał się i kołysał i niekiedy szemrał bełkotliwie, jak ten bór, stojący dokoła gęstwą szarzejących pni, gdy naraz zapadła śmiertelna cichość, jakby skamienieli wszyscy, a wszystkie serca się zatrzęsły.

Opadły bowiem nagle skrzydła namiotu, i jawił się z mroków wysoki ołtarz, cały w jarzących światłach i kwiatach, ponad którymi wychylał się zmartwychwstający Chrystus prawie nagi, skrwawiony w cierniowej koronie i wyciągał ku rzeszom poprzebijane, ale przygarniające i pełne litosnego miłosierdzia ręce.

Pałący wicher westchnień się zerwał i łzawy krzyk i jęk serdeczny:

– Chryste! Chryste! O Panie miłosierny!

Przycichło. Ksiądz w białym ornacie z monstrancją i kielichem w rękach wstępował zwolna po stopniach, urastał coraz bardziej, wynosił się ponad tłumy, aż zjawił się utęsknionym oczom cały w światłach, niby anioł, postawił złocistą monstrancję wysoko u stóp Chrystusa, przyklęknął i odwrócił się do ludu.

Jak zwały łan, gdy weń wicher uderzy, tak pochyliły się kornie wszystkie głowy, i jednym ruchem i z jednym westchnieniem i uczuciem jednym tysiące padły na kolana.

Ołtarz wznosił się, jakby świetlane widzenie, zawieszony gdzieś w mrokach.

Rozpoczęło się nabożeństwo.

Niekiedy zabrzęczały dzwonki, niekiedy rozlegał się śpiewny głos księdza, i padały krótkie odpowiedzi ministrantów, niekiedy z rozkołysanej kadzielnicy rozplywały się pachnące dymy, i złocista monstrancja unosiła się nad pochylonemi głowami, a niekiedy zapadało głębokie milczenie, i było tylko słycać jakby szmer łez, nieustannie spływających po twarzach, gorące westchnienia, przesuwanie różańców i krótkie, urywane słowa pacierzy.

Modrawy świt roztrząsał się nad uroczyskiem, niebo stawało się coraz jaśniejsze, z moczarów odzywały się kwilenia czajek i krzyki dzikiego ptactwa, bór się zakolebał, rozgędził na chwilę i przycichnął i pochylony jakby się wsłuchiwał w rozdrżane szmery modlitw, w rozelkaną pieśń powstrzymywanych płaczów, skarg i jęków...

Szare mgły, wypełzłe z bagnisk, zaczęły pokrywać klęczących niby szronem, że całe to znieruchomiłe morze ludzkie widniało jakby pole, zorane w twarde i niezliczone skiby głów, ponad którym wynosiły się tylko światła ołtarza i Chrystus, wyciągający litościwe ramiona.

Tuż za mną posypały się ciche prędkie i trwożne szepty:

– Podobno wojsko idzie na nas z Białej, kozacy i piechota!

– Jezus, Marya! Święty Józefacie!

– Dali znać ze szosy, jakiś Żyd im powiedział.

– Cicho, teraz nabożeństwo! – odezwał się ktoś karcąco.

– A niech przyjdą i niech nas wezmą! – podniósł się surowy, mocny głos.

I ani jeden nie zerwał się do ucieczki, ani cienia przestachu nie dojrzałem na żadnej twarzy, pomilkli natychmiast, a tylko tu i owdzie na mgnienie błysnęły oczy, zatrzęśły się wargi, a złożone dłonie zaciskały się w pięście, i modlili się dalej w głębokim spokoju i ufności.

Byłem prawie pewien, że to fałszywa wiadomość, ale mimo to nie mogłem się uspokoić i bezwiednie oglądałem się na wszystkie strony, aż mi ktoś szepnął do ucha:

– To nieprawda! Niech się pan nie boi, a drugich nie strasz!

Mgły opadły, dzień rozlewał się pogodny i rzeźwy, moczary zadymiały, jak trybularze, bór zaszemrał porannym pacierzem do nadchodzącego słońca, i głośniejsz zaśpiewały ptaki, a w modrawem, zimnem świetle wyraźnie było widać gęstwą niezliczoną głów, zatopionych w żarliwej modlitwie, wzniesione w zachwyceniu ręce, anielskie uśmiechy, twarze wniebowzięte, oczy, pełne niezgłębionego uniesienia, rozchylone i oniemiałe w ekstazie usta, że już wszystkie dusze zdawały się omdlewać z nadmiaru czucia i płynąć jakby w jakieś raje niewysłowionej szczęśliwości.

Dosyć czasu upłynęło w takiej modlitewnej ciszy i skupieniu, gdy zaroily się wśród klęczących zapalone świece i zawrzały naraz wszystkie dzwonki.

Zaczęło się podniesienie, a kiedy ksiądz wznosił wysoko monstrancję, runęli wszyscy na twarze, zerwały się szlochy, westchnienia i krótkie, rozpalone krzyki, przenajświętsze głosy serc, padających w proch przed Bożym majestatem.

– Niech teraz przyjdą i spróbują brać! – odezwał się ktoś z boku, gdy znowu spłynęło milczenie na pochylone kornie głowy.

Nie było czasu na odpowiedź, bo ksiądz, ledwie już dojrzany w kadzielnich dymach i brzaskach świateł, odwrócił się do ludu z monstrancją i donośnym, jak dzwon głosem, zaintonował suplikację.

Nigdy w życiu nie zapomnę tej chwili.

Lud powstał z klęczek, pochwycił żarliwymi ustami świętą melodyę i zawtórował takim wstrząsającym głosem, aż zadrżały drzewa i rosisty grad posypał się na głowy.

Śpiewali jakby zapatrzeni w złociste blaski monstrancyi, czy też we własne dusze, nie wiem, wiem tylko, że te głosy tysięcy były jednym, jak świat, ogromnym głosem, były pieśnią milionów, były wołaniem najtajniejszych głębin człowieczych, były żalnym jękiem przyziemnego bytu u bram nieśmiertelności, były krzykiem ziemi, zapomnianej do Boga, do Boga miłosierdzia i miłości.

Każda dusza zawodziła przed Panem gorzką pieśń życia; każda dusza skarżyła się żalnym płaczem, i każda dusza żebrała o zmiłowanie.

Niby krze ogniste, wybuchnęły serca i śpiewały całą nieukojoną męką, wszystką wiarą, wszystką miłością i wszystką mocą żywota śpiewały. Huragan głosów odrywał się zwolna od ziemi, bił w niebo, huczał coraz potężniej i rozlewał się coraz ogromniej, jakby ponad całym światem, jakby już wraz z nimi śpiewały wszystkie bory, i ziemie, i wody, i nawet to słońce, które wyzierało czerwoną żrenicą, i stwór wszelaki...

Dopiero po skończeniu mszy pomilkły śpiewy.

A po krótkim odpoczynku i po przybyciu paru księży, najdziwaczniej poprzebieranych, rozpoczęła się właściwa praca misyjna.

I cały dzień ołtarz jarzył się zapalonemi świecami, cały dzień oblegały go tłumy rozmodlonych i cały dzień, prawie bez przestanku, księża nauczali, słuchali spowiedzi, komunikowali, dawali śluby i chrzcili.

Przeszło pięć tysięcy osób czekało na to z upragnieniem.

Byli tacy, którzy dwadzieścia mil przyszli, przekradając się lasami, jak wilki.

Byli tacy, których chrzczono, dawano im śluby i zarazem chrzczono ich dzieci.

Byli tacy dorośli, żonaci, dietni, którzy po raz pierwszy w życiu widzieli mszę.

Byli i tacy, a takich znajdowało się najwięcej, którzy za każdą mszę wysłuchaną, za każdą spowiedź, za ochrzczenie każdego dziecka, za wzięcie ślubu, za polski pacierz i za polską książkę brali kije, płacili kary i całe miesiące przesiedzieli w więzieniach.

A jednak wszyscy przetrwali!

Cisi, prości, spokojni, wierni, a niezłomni i niezwyciężeni.

Taki jest, panie, nasz lud na „Czerwonym Podlasiu”.

Skała, w którą przez czterdzieści lat biły całe huragany piorunów i nie zmogły, przetrzyma i wyodrębnienie Chełmszczyzny, i nowe prześladowania; przetrzyma wszystko i wszystkich...

Zakończył opowiadanie p. R.

—

Konie czekały już na mnie przed gankiem, ale zaledwie wszedłem do bryczki, zaczął padać drobny i zimny deszczyk, a p. R., rozejrzawszy się po zasepionem niebie, zawołał:

– Dzisiaj Św. Jana, wie pan, co lud prorokuje, kiedy deszcz pada w tym dniu?

Jak się Jaś rozplacze,
Mama nie utuli,
To będzie padało
Do Świętej Urszuli.

Ale pomimo tej mokrej przepowiedni ruszyłem w głąb „Czerwonego Podlasia”.

II

Deszcz jednak ustał, i wkrótce po południu wyjrzało blade, anemiczne słońce, a nisko pochylone zboża i trawy rozblysnęły siwymi rosami. Droga była szeroka, polska, miejscami piach, miejscami błoto po osie, a miejscami wyboje i kałuże na pół chłopa.

Kraj płaski, równy, jak stół, przestronny; oczy lecą, niby ptaki, w cały ogromny świat, lecą daleko i radośnie, aż za przemglone, niebieskawe krańce nieba. Zboża zielonem morzem pokryły ziemię, jak okiem dosięgnąć, wiatr pieszczotliwie przegarnia płowe, cicho szumiące zagony, a nad nimi tu i ówdzie bielą się ściany domów, śpiewają skowronki, kołyszają się samotne drzewa, i błyskają kopuły cerkiewek.

Wsie rzadkie, ukryte w gęstwach sadów, znaczą się tylko słupami dymów.

Gdzieniedzie wśród łąk, porozrzucanych, niby barwne kilimy, wśród łożin i czarnych olch, srebrzą się kręte wstęgi rzeczulek, patrzą siwe oczy stawów, czajki zawodzą lękliwie, i spacerują bociany.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.